

---

# Prasa o adwokaturze

---

Palestra 6/6(54), 65-69

---

1962

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Kwiecień i maj znów sypnęły urodzajem publikacji na tematy związane z adwokaturą. Nie prowadzi liczbowej statystyki, która pozwoliłaby zmierzyć nasilenie zainteresowania sprawami palestry ze strony publicystów prasy codziennej i periodycznej, ale przecież nie o ilość tu chodzi. Ważniejszy znacznie jest ton, w jakim toczy się dyskusja.

Właśnie — dyskusja. Tak się bowiem dzieje, że wspólną cechą wszystkich niemal artykułów prasowych jest ich dyskusyjność. Ale dyskusyjność, trzeba to z satysfakcją odnotować, o charakterze konstruktywnym i — w większości — rzeczowym, a więc przynosząca korzyści miast kwasów. A że w dyskusji trafiają się słowa krytyki — tym lepiej dla dyskusji. Tym bardziej, że krytyka oparta jest na ogół na faktach, co trzeba ocenić jako postęp wobec tak modnych do niedawna gołosłownych uogólnień.

Wyjątkiem — in minus — jest dyskusja tocząca się od kilku tygodni na łamach „Zielonego Sztandaru”. Nieporozumieniem chyba jest samo jej założenie sprowadzające się do pytania: czy adwokaci są w ogóle potrzebni? W praktyce sprowadza się to do pracowitego wyważania otwartych drzwi przez czytelników zabierających głos na tzw. łamach. Większość z nich powiada: adwokaci są potrzebni! Ale motywuje się to względami czysto praktycznymi: zwykły obywatel, nie znający — siłą rzeczy — licznych przepisów prawa, sam nie dałby sobie rady przed sądem.

W numerze z dn. 4 kwietnia jeden z czytelników, nie zgadzając się z propozycją zniesienia praktyki adwokackiej wysuniętą przez swego poprzednika, pisze:

„Moim zdaniem takie posunięcie nie tylko nic by nie dało, ale wręcz pogorszyłoby sytuację ludzi, którzy sami nie są zdolni bronić się w zawitych procesach sądowych. Ci ludzie dzięki pomocy dobrych, uczciwych obrońców wygrywają swe słuszne sprawy, dochodzą sprawiedliwości”.

Słusznie! Czy to jest jednak najważniejszy argument, przemawiający za utrzymaniem instytucji obrońcy?

Pół biedy jednak z tym wyważaniem otwartych drzwi. Gorzej, gdy dyskusja zaczyna obfitować w nieporozumienia, w dodatku — zasadnicze. Jest ich wiele... Właściwie — co wypowiedź, to nieporozumienie. A że żadne z tych nieporozumień nie spotyka się z wyjaśnieniem ze strony redakcji, więc czytelnik „Zielonego Sztandaru” — mieszkaniac wsi — otrzymuje porcję twierdzeń, która musi wprowadzić chaos w jego pojęcia na temat funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości. Oto jeszcze jedna próbka traktowania tych spraw, tym razem wykraczająca poza palestrę. Pisze kolejny czytelnik:

„Nie słyszałem jeszcze, żeby adwokat po przegraniu sprawy nie zachęcał do dalszego procesowania się. Zresztą czy tylko adwokaci są tu winni, skoro w wielu wyrokach orzeczenia sądów powiatowych są zmieniane przez sądy wojewódzkie, a te z kolei przez Sąd Najwyższy. A przecież sędziowie wszystkich instancji mają jednakowe wykształcenie prawnicze i kierują się tymi samymi kodeksami praw. Takie praktyki (sic!) na pewno zachęcają wielu do długo-

trwałego procesowania się, na czym najwięcej zarabiają adwokaci, a traci społeczeństwo”.

Wstrzymajmy się od komentarzy. Czytajmy dalej — znajdziemy następane recepty na „uzdrowienie” sytuacji w wymiarze sprawiedliwości:

„Przytoczę tu przykład, jak postępują niektórzy adwokaci. Oto przychodzi kobieta wniesić skargę na sąsiadkę, że ta ją obraziła słowami, wyzwala od jasných choler, głupich, takich owalkich. Adwokat słucha, spisuje i uśmiecha się pod nosem, boć przecież to babskie głupoty. A później pyta: A wysię nic nie powiedzieli?”

Powiedziałam: Ty cholero i jeszcze jakoś — odpowiada klientka — bo co, miałam nic nie mówić.

Adwokat zamiast kobiecie wytłumaczyć, żeby dała spokój, bo to głupota, po co tym sądowi głowę zawracać, to on jeszcze podjudza: No zobaczymy, pokażemy jej!

Wiem, że jest ustawa, na mocy której każdy ma prawo się bronić, ale przecież można by chyba trochę zmienić. Adwokat powinien występować tylko w sprawach naprawdę ważnych, a nie głupich pyskówkach. W głupich sprawach adwokaci ustawowo nie powinni być dopuszczani do sądu (...).

Stop! Można by rzecz całą „zakatwić” kpiną — w cytowanych wypowiedziach czytelników „Zielonego Sztandaru” dość jest haczyków, których można się ucześcić. Wydaje się jednak, że dla dobra sprawy warto wykazać dobrą wolę i wniknąć głębiej w istotę sporu. Bo pod nieudolną formą kryje się jednak problem. Jaka jest rola adwokata w dzisiejszych warunkach społecznych? Jak dalece ten adwokat ma być bezkrytycznym wykonawcą „zamówień” klienta, a jak dalece krytykiem tych zamówień? Czy adwokat ma w ogóle prawo być bezkrytyczny? Jeśli nie, to czy może odmówić pomocy człowiekowi, który jej od niego żąda.

Te wszystkie pytania są pytaniami istotnymi. Stanowią przecież tematy dyskusji w środowisku adwokackim nie od dziś, dyskusji bynajmniej niejednogłosowej. Dyskusji istotnej.

W numerze „Dziennika Ludowego” z dn. 10 kwietnia Irena Radlińska, zastanawiając się nad źródłami pieniactwa na wsi, przytacza przykład:

„Do adwokata przyszedł klient. W pierwszym okresie po wyzwoleniu dostał on z reformy rolnej kilka hektarów ziemi. Potem wyjechał do woj. wrocławskiego i tam otrzymał ładne gospodarstwo. Obecnie mieszka tam, dobrze gospodaruje i ani myśli wracać na liche siemiatyckie grunta. Jednakże ostatnio coś mu przyszło do głowy, że te kilka hektarów ziemi, opuszczone przed laty, to też jego własność. Dlatego wsiadł w pociąg i przyjechał na miejsce... procesować się.

Wtedy adwokat zapytał: — Z kim chcecie się procesować?

— Z państwem. Bo państwo mi dało ziemię, a potem zabrało.

Nie wiem, jakimi słowami adwokat wytłumaczył gospodarzowi, że takie postępowanie nie ma sensu. W każdym razie gospodarz odjechał z przekonaniem, że państwo obdarowywało bezrolnych i małorolnych chłopów tylko jednym gospodarstwem, a nie wieloma”.

Odpowiedź na pytanie: czy adwokat postąpił słusznie, jest istotna dla każdego, kto przeczyta krótką polemikę Kazimierza Paska z тезami artykułu Antoniego

Tracza (cytowanego przeze mnie w poprzednim „Przeglądzie prasy”) pt. „Próba diagnozy”. Oba głosy zamieścił „Tygodnik Kulturalny”.

Pasek pisze m.i.:

„Mówi się potocznie, że »klient to pan dla adwokata«. Przepisy prawa mówią, że adwokat jako czynnik wymiaru sprawiedliwości winien być pomocą dla sądu w wykryciu prawdy materialnej w procesie sądowym.

Czy tak jest w istocie? Co do tego mam poważne wątpliwości. Adwokat, broniąc interesu swego klienta, robi co może, aby przedstawić stan faktyczny w korzystnym dla oskarżonego świetle. Często w płomiennych przemówieniach przedstawia przestępcę jako ofiarę losu, którą niesłusznie postawiono w stan oskarżenia. Adwokaci prowadzą więc sprawy wbrew swemu przekonaniu. Sprawa każdego klienta jest dla nich wygrana.

Jeśli przegra w I instancji, to wnosi rewizję do II instancji, a nawet rewizję nadzwyczajną. I po co? Przecież można przewidzieć, że jeśli klient dokonał przestępstwa, to musi być wyrok skazujący, musi być kara (...).”

Znów sprawa postawiona na głowie. Ale znów okazmy maksimum dobrej woli i spróbujmy wyłowić z tej wypowiedzi głębszy sens. Spróbujmy postawić pytanie: jak szerokie są granice obrony? Co to jest i jak ma się wyrażać pojęcie „sumienia adwokackiego”?

Tym problemom cztery kolejne felietony w „Kulisach” (8, 15, 22 i 29 kwietnia) poświęcił niezmiordowany Lex. Z właściwą sobie gawędziarską swadą, operując anegdotami historycznymi i powołując normy ustawodawstwa innych krajów, Lex w sposób pobudzający do myślenia i dyskusji rozstrząsa kwestię roli i miejsca adwokata w procesie karnym:

„W nie dającej się już dziś ogarnąć literaturze poświęconej wykonywaniu zawodu adwokackiego wiele uwagi poświęcono różnym metodom obrony oraz sposobom najbardziej skutecznego przekonywania sędziów. Od wieków dręczy praktyków i teoretyków tej niełatwej sztuki pytanie na pozór proste. Jak daleko sięgają granice uprawnień obrońcy, gdy działa wedle swej najlepszej wiary w interesie oskarżonego?

Niektóre z rozwiązań, jakże obecnie wydają się dla nas oczywiste, pół wieku temu uchodziłyby jeszcze za herezję nie do przyjęcia.

Do nich należy uznana dziś powszechnie zasada, że obrońca w procesie karnym nie jest pełnomocnikiem oskarżonego, jego bezkrytycznym, bezwolnym narzędziem ze wszystkimi stąd wynikającymi konsekwencjami. Ma on prawo — jeśli zgoła nie obowiązek — przyjąć inną koncepcję wyjaśniającą czyn, tłumaczącą postępowanie sprawcy, aniżeli oskarżony, o ile uzna wedle swej wiedzy i w swym sumieniu, że obrona przezeń śluzniejsza i bardziej korzystna dla klienta. Cóż jednak oznacza słowo »bardziej korzystna« (...)” (Granice obrony — „Kulisy” nr 14 z dn. 8.IV.).

„(...) Kiedy znakomity prawnik angielski Singleton objął zaszczytną godność sędziego w Izbie Lordów, postanowił zebrać dotychczasowe doświadczenia adwokackie w małej książeczce, którą wydał w roku 1933 pod znamienitym tytułem: Jak należy się zachować jako obrońca.

Obrońca powinien — jego zdaniem — kierować się przy spełnianiu swych funkcji zawodowych dwiema podstawowymi zasadami. Sformułował je w sposób następujący:

Zasada pierwsza: Zgodnie z najlepszymi tradycjami angielskiego prawnictwa adwokat powinien, gdy występuje przed sędziami, oczywiście z zachowaniem

waniem należytego dla nich szacunku, śmiało bronić interesów swego klienta, i to bez względu na przykre konsekwencje, jakie z tego powodu mogą wyniknąć dla niego samego lub dla innej osoby.

Zasada druga: Każdy adwokat angielski jest jednocześnie pomocnikiem wymiaru sprawiedliwości. Ma obowiązki nie tylko wobec swego klienta, lecz również w stosunku do sądu. Spełnia zaś tę powinność, używając wszystkich swych sił w tym celu, aby do wiadomości sądu doszły istotne fakty, na podstawie których może być wydana sprawiedliwa decyzja (...)" (Diabeł adwokacki — „Kulisy” nr 15 z dn. 15.IV.).

„(...) Kiedy znany niemiecki procesualista Gerland dochodzi w swym podręczniku do omówienia roli i zadań obrońcy w przewodzie karnym — przyznaje z pewną rezygnacją, iż bardzo trudno jest ustalić jakieś ogólne i bezwzględnie obowiązujące w tym zakresie reguły. Nie jest na pewno rzeczą łatwą, a czasem wręcz niemożliwą, przeprowadzić w sposób abstrakcyjny ściśle granicę pomiędzy jeszcze dozwolonym zachowaniem się adwokata a już zakazaną metodą obrony. Każdy proces ma swą specyfikę. Właściwego rozgraniczenia można dlatego najczęściej dokonać na podstawie konkretnego wypadku, który trzeba ocenić. Ale wtedy już jest dla obrońcy za późno, by mógł wyciągnąć odpowiednie wnioski. Brak we właściwej chwili należytego wyuczucia, iż dopuszczalna granica została już przekroczona, nie zwalnia na ogół potem od odpowiedzialności.

Nauka zaś, którą obrońca otrzymał, może nawet nie mieć właściwego znaczenia na przyszłość, jeżeli mowa o sytuacji, waga mowej sprawy, mowa atmosfera, w której wypadnie mu występować — będzie zgola inna niż poprzednia. Dlatego praca obrońcy połączona jest zawsze z pewnym nie dającym się ściśle z góry wyznaczyć ryzykiem zawodowym. Wiele zależy od osobistej kultury, taktu, wyrobienia politycznego, niemało od właściwości charakteru obrońcy.

Kiedy metoda postępowania obrońcy staje się już wyraźnie ryzykanką grą? Kiedy przyjęta taktyka adwokacka narusza zasady taktu, w ramach których powinien spełniać swe zadania przed sądem?

Każda odpowiedź na tak ogólnie postawione pytania będzie niecisła (...)" (Ryzyko obrońcy — „Kulisy” nr 16 z dn. 22.IV.).

Lex nie odpowiada na stawiane przez siebie pytania, uznając ich złożoność. Stawia je po prostu i każe dyskutować. Podsuwa rozwiązania i podsuwa wątpliwości, rozstrzygnięcie pozostawiając czytelnikowi.

Imaczej postępują niektórzy dyskutanci z łamów „Zielonego Sztandaru” — że znów wróć do punktu wyjściowego. Oto jeden z głosów:

„Obecnie niewiele się zmieniło (w porównaniu z okresem międzywojennackim, ale w dalszym ciągu wyzyskują chłopską głupotę. Są bezliżni, mają nym — *przyp. L.*). Tyle, że mają (adwokaci — *przyp. L.*) swoje zespoły adwotwarde serca, nic za darmo nie doradzą, słowa nie napiszą bez zapłaty, tylko pieniądze u nich się liczą”.

Proszę — pryncypialnie i bezpośrednio.

A tymczasem pokrewny „Zielonemu Sztandarowi” „Dziennik Ludowy” z dn. 6—7 maja drukuje artykuł W. Majewskiej pt. „Prawo i bezprawie” na temat pracy poradni prawnej przy PK ZSL w Siedlcach.

„Od kilku lat czynna jest poradnia prawna przy PK ZSL w Siedlcach. Od kilku lat Stefan Słoiński — adwokat-ludowiec — dojeżdża z Warszawy i bezinteresownie dwa razy w miesiącu udziela porad. Interesantów ma zawsze du-

zo. Większość spraw, z którymi chłopci do niego przychodzą, dotyczy łamania praworządności. Są to konflikty chłopów z władzą administracyjną, która często bezdusznie załatwia ich sprawy. W ciągu tych paru lat Stefan Słoński zdobył sobie uznanie i popularność wśród miejscowych rolników za swą wiedzę i skromność.

A tymczasem „Przyjaciółka” z dn. 22 kwietnia przynosi reportaż z „inspekcji” redakcyjnej w zespołach adwokackich, które na łamach tego popularnego pisma zadeklarowały bezpłatną pomoc prawną w sprawach alimentacyjnych. „Inspekcja”, przeprowadzona zresztą *incognito* w zespołach poznańskich i opolskich, wypadła „na medal”.

„Dziennik Ludowy” i „Przyjaciółka” opierają się na faktach. „Charakterystyka” adwokatów na łamach „Sztandaru” jest gołosłowna i ogólnikowa. To wystarczy chyba za komentarz.

Lektor